
MARIA GLUSZKOWSKA

KIEDYŚ TO BYŁY ŻMIJE...

Wszystko zaczęło się od cara. Na początku XX wieku car Mikołaj II postanowił zasiedlić tajgę. Dzikie tereny, odwiedzane tylko czasami przez buriacką ludność. Buriaci łowili ryby, zbierali jagody, ale gęsta przestrzeń lasu pozostawała nietknięta. Każdemu, kto zechciałby się tam osiedlić car ofiarował 100 rubli, niemałą kwotę jak na ówczesne czasy. Polacy z Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski zaczęli rozważać tę propozycję. Wielu z nich cierpiało biedę, niektórzy chcieli uciec przed długami. Zmiana miejsca pobytu była nadzieją na lepsze życie. Każdy boi się nieznanego. Wyobraźmy sobie odległość dzielącą Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie od Syberii, początek XX wieku, tamte metody podróżowania. A przede wszystkim zestawienie tego, co bliskie, znajome. Nie wyda się dziwne, że pragnęli oni swoją podróż choć trochę oswoić. Najpierw wyruszyli chodacy, ludzie, których zadaniem było obejrzenie ziemi, wybór odpowiedniego miejsca. Po powrocie chwalili tamtejsze tereny. Żyzne gleby, bogactwo lasu, rzeki.

Duża liczba rodzin, także z małymi dziećmi, podjęła decyzję o wyjeździe. Wyjazdy odbywały się falami. Najwięcej osadników przybyło jesienią 1910 roku. Dotarli na miejsce po dwóch tygodniach podróży, przywieźli ze sobą cały, zabrany z domu dobytek. Pierwszą, najcięższą próbą było przetrwanie zimy, zderzenie z syberyjskim klimatem. Schronieniem stały się budowane w pośpiechu ziemianki. Na żywność i ubranie zarabiali wykonując zlecane przez Buriatów prace. Gdy śnieg stajał rozpoczynało się karczowanie tajgi, walka z przyrodą. Niektóre rodziny zdecydowały się na powrót, ale były i takie, którym brak pieniędzy uniemożliwił ten krok. Większość jednak została. Ciężka praca nie poszła na marne. Polacy pobudowali porządne, drewniane domy. Suche i ciepłe, opalane drzewem z tajgi. Od tej pory syberyjski mróz zostawał za progiem. Uwagę przyciągają oryginalne zdobienia domów. Rzeźbione kwiaty, serca, elementy ludowej wycinanki. Każdy z przyszłych gospodarzy dostawał 16 hektarów ziemi. Zaczęto uprawiać ziemniaki, groch, jęczmień, żyto, a także tatarkę, zwaną potocznie gryczuchą. Zajęto się również hodowlą zwierząt, mówiąc po tutejszemu – gadziny. Bydła, trzody chlewnej, koni.

W centrum wsi Polacy zbudowali kościół. Niewielki budynek z jasnego drewna. Świeżo osiedlone rodziny były mocno związane ze swoją tradycją, religią, z niej czerpały siłę. W ten sposób powstała Wierszyna. Niewielka wieś na Syberii, położona nad rzeką Idą, 130 kilometrów na północ od Irkucka. Fragment Polski prawie w samym centrum Ordyńsko – Buriackiego Okręgu. W Wierszynie, która w swój obręb wchłonęła również dawne buriackie osiedla Honzoi i Naszate, mieszka blisko 120 polskich rodzin. Na wsi młodsze dzieci mają możliwość nauki w miejscowej szkole, w której jako jeden z przedmiotów wprowadzony został język polski. Mieszkańcy starszego pokolenia posługują się między sobą gwara z południowej Małopolski. Im młodsze pokolenie, tym znajomość polskiego wydaje się słabsza. Choć zależy to od poszczególnych rodzin. Niedaleko Wierszyny znajduje się Tichonowka, miejscowość założona przez Ukraińców. Przybyli oni na Syberię w tym samym czasie i na tych samych zasadach, co osadnicy polscy. W sąsiedztwie mieszkają także rodziny rosyjskie, tatarskie i osetyńskie. Mniejsza czy większa, ale właśnie tolerancja jest tutaj pojęciem podstawowym. Bez niej, codzienne życie byłoby niemożliwe. Surowe tereny tajgi są ziemią, na której trzeba żyć wspólnie.

Wieś leży na wyżynie, jej krajobraz można podziwiać z góry o nazwie Miru Mir (Pokój światu). Skąd ta nazwa? Nie wiadomo, jednak pragnienie pokoju jest bardzo silne wśród mieszkańców. Może dlatego, że dobrze znają jego brak. Echa światowych konfliktów wcześniej czy później docierają wszędzie. Nawet do zakątków, gdzie ludzie mają zbyt wiele ciekawych zajęć, żeby interesować się polityką. Największe represje dotknęły mieszkańców wsi w 1937 roku. Skazanych w sfingowanym procesie i rozstrzelanych zostało 30 mężczyzn. Gospodarzy, ojców rodzin. W Irkucku znajduje się pomnik upamiętniający tę zbrodnię. Kobiety i dzieci cierpiały biedę. Rekwirowano zboże, zabierano całą żywność. Dzieci zamiast konia zaprzęgano do pługa, jedzono resztki, ratowano się szukaniem pokarmu w tajdze. Czas pierestrojki, ogólnej odwilży przywrócił Polakom ich prawa. Wyremontowano także zamkniętą w okresie komunizmu świątynię. Jednak pewien cień radzieckich rządów został w ludziach do dziś. Przyspieszył odejście od niektórych tradycji, osłabił związek z Kościołem.

Losy Wierszyny, jak losy każdego miejsca na ziemi, wpisują się w bieg historii. Tylko, że wielką historię tworzą mali ludzie. Ich pojedyncze drogi, zawiedzione nadzieje, spełnione radości i smutki.

Teraz nie ma takich zim

Koniec wsi. Przy wyjeździe na Dundaj. Nieduży dom na górze. Drewniana furka tonie w pokrzywach. Wygląda, jakby nikt tu nie mieszkał. Jednak w środku jest Pan Izidor. Ubrany w kraciatą koszulę, wy-

prostowany jak żołnierz. Przygląda rozczochrane włosy z uśmiechem dziecka.¹

*

Pan Izidor w swoim mieszkaniu.

Dzień dobry, dzień dobry. Wy weszliście, a ja nic nie słyszałem. Tak się ze słuchem porobiło. Choroby nic nie przynosi ze sobą, ona sama przychodzi. Nogi też mnie bolą, a trza plewić. Co bydzie to bydzie, nie uplewisz nie bydzie nic. Do doktora? To trzeba pieszką do Dundaja 7 kilometrów. A na cym pójdę? Mnie tutaj też bardzo boli. Syrce, syrce. Jedna bida się zrobiła, kobita umarła. Żyli my fajnie, prosto tak żyli. Nie rugali się ni nic. Ona w bolnicy leżała kilka razy. Ja tam chodziłem, odwiedzałem. Zawsze chciała, żebym do domu ją zabierał. Roboty w domu dużo, nie bydzie leżeć. Wiecie, że jak u człowieka strach taki to bardzo niedobrze. A u mnie był taki strach. Już ją przywiozłem do chałupy, wracam od sąsiada, furka na oścież otwarta. To nic dobrego nie wróży. Syrce tak mi się ścisnęło, do dziś czuję. Zabrali ją na pogotowie, nie pomogło, zmarła. A my się prosto tak drużyli, tak lubili. Byliśmy jak jedno. To się nieczęsto zdarza, żeby ludzie byli jak jedno.

¹ Narracja tekstu jest oparta na wypowiedziach mieszkańców Wierszyny. Ich polszczyzna ma swój własny, niepowtarzalny charakter. Stanowi ona mieszaninę gwar z regionów pochodzenia pierwszych osadników: z okolic Częstochowy, Piotrkowa Trybunalskiego, Będowa, Zawiercia, Dąbrowy Górniczej, Kielc i innych miejscowości położonych w Małopolsce i w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim. Mieszkańcy Wierszyny przez sto lat istnienia ich wsi mieli bardzo ograniczony kontakt z dawną ojczyzną i jej językiem. Dlatego w ich mowie zachowało się wiele słów, które już wyszły z użycia w południowej Polsce, a także specyficzne, gwarowe formy gramatyczne, np. *nauczycielów* zamiast *nauczycieli* lub *pojedymy* zamiast *pojedziemy*. Jednocześnie żyjąc w obcym otoczeniu, syberyjscy Polacy przejmowali coraz to nową leksykę z języka rosyjskiego, zwłaszcza w dziedzinach związanych z techniką, której wyjeżdżający z Polski na początku XX wieku emigranci jeszcze nie znali, np. *chłodilnik* zamiast *lodówka*. W artykule zastosowano zapis, który w możliwie najbliższy sposób oddaje wymowę mieszkańców Wierszyny.

Bochnia to dalej, a Tichanowka bliżej. Tam Ukraińcy żyją. Buriaci? No, nawet tu mieszkało kilka rodzin. One dobre ludzie, nie wredne, ino, że u nich płaskie nosy. Jak my byli mali to się często z nimi bawili. Wystarczyło się pokłócić, a już krzyczeliśmy płaskie nosy, płaskie nosy. Jak to dzieci. W Naszacie głównie mieszkali, teraz tam więcej Polaków. Te Buriaty to ludzkie ludzie, uczyć się lubią, mnogo w instytucy wychodzi. Święte miejsca? Tak mają, szamanić lubią. One wybierały miejsce na górze, przed lasem, bliżej do Boga, żeby wszystko spełniło się. Śpiewały, skakały, tarasun brały, to taki ichni spiryt. Kałakolczyki sobie wiązali, żeby brzęczało, uni się tym cieszyli.

W Polsce byłem, mnie się tam oczeń panrawiło. Ładne miasta. Jak my wyjeżdżali zawsze musieli taki papirek podpisać, że się nie będziemy w polityczeskije sprawy mieszać. Ja pracowałem w kołchozie, na traktorze. Ciężka praca, ale solidnie robiłem. Potem ja nie stał robić, na pensję poszedł. Moja robota upadła.

Mrozy? Oj, były mrozy. Teraz nie ma takich zim. Zima przychodzi, a ja nie widzę zimy. W przodzie to było słycać jak ziemia pękała. Taki mróz. Pękała ziemia, a tam mróz dochodzi. I to taki jakby z piekła, z takiej głębokości.

Wezmę ten wazonik, coś nam tu gawędzi. No, teraz was widzę, lepiej się gada.

Pamiętam. Byłem malutki, obcy ludzie na podwórku. Jak się przewracałem na łóżku wyrzałem przez okno, a tam jakieś chłopcy nieznakome chodzą. Pytam mamy, a kto to był? Po jakiemu? Kaj ojciec pojechał? Mama nic, tylko płacze. Bo już poniatno, że nie wróci, że to na wsiu żyżń. Mój ojciec i dwóch braci, Stefek, Jarek. Krow z mołokom, ile by te ludzie na miejscu zrobiły, jakby żyły. Jak mietłom zamietło, nie ma nikogo. My tę wsie gorycz łykali. Co zrobisz? Nikomu nie powiesz. Zbierają tam w Moskwie centralny komitet. Stalin siada mówi. Co mówi, tak będzie. Dlaczego? Bo się wszyscy go bali. Jak umarł, demokratia poszła. Wiecie co jest ważne, nie dopuszczać nigdy więcej tego stalinizmu. Teraz jest lepiej, idę do magazynu kupuję co chcę. Po mojemu lepiej, w końcu świeży wozduch. Teraz jestem sam, to ja bardzo dużo myślę. Wyjdę do ogródka poplewieć, za chwilę wrócę, usiądę, myślę. Potem znowu wyjdę poplewieć. Aż sam się śmieję, że się tak w kółko krynce. Siadam, myślę. Jak było rańsze. Takie różne myśli przychodzą. I te, że mogli tak gnębić. Czy to możliwe? Prosto, bukwalno zabierali z domu. Tam w Polsce, wy o tym wiecie?

Kiedyś to były zmije

W tej części wioski droga jest lepsza. Więcej piachu, mniej gliny. Z boku błyska Ida. Srebrna, nerwowa w swoim biegu. Za domami Miru Mir. Wysoka góra, ciemna, trochę śpiąca. Przed każdą chałupą ławeczka. Kobiety siedzą, rozmawiają. Odpędzają natrętne muchy, niespokojne myśli. Niektóre są same, wypatrują czy kto nie idzie, obserwują drogę. Wciąż biegnie pod górę. Wyżej i wyżej, aż znika w ciemnym kwadracie lasu.

Pani Maria siedzi na ławce. Czerwona, zawiązana z tyłu chustka, śniada karnacja, ciemne oczy. Grzeje na słońcu nogi, mocno spuchnięte, w wełnianych skarpetach.

Mogę chwilę porozmawiać. A czemu nie? Mam czas. Ja do roboty już nie chodzę. Tak, żeby posiedzieć, dzieci przypilnować. Nogi się zepsuły. Nie przyjmą do bolnicy. Stara baba powiedzą, pora umierać. Teraz takie życie, że ani się żyć nie chce. Moja mama miała dziewięćdziesiąt trzy jak zmarła, no ale ja do maminych nie dożyję. Skąd moi rodzice przyjechali? Babka to taka cinna była, ona mało opowiadała. Z Częstochowy czy kaj? Moje dzieci to nawet w Polsce były. Wszystko ładne, ino do kościoła prowadzali to nie mogli ustać. Nieprzywyczone. Nasz, w jakim roku postrojony? Oj dawno, dawno, z samego naczała. On bardzo długo był zamkninty, ludzie odwykli. Tu jakiś czas przedstawicielem była baba. A baba to diabeł, gorsza niż chłop.

*

Pani Maria na werandzie.

Ja się do córki przybrałam. Dzieci dużo, sześć wnuczków, dwanaście prawnuczków, u każdego po dwa. No, ale część żyje w Irkucku. Imiona to mają różne, polskie, rosyjskie. Jedna jest Diana. To ani polskie, ani rosyjskie, chyba z tych cornych murzynów wzięte. Moja synowa, to ona jest ruska. A dzieci nie wiem jak nazwać? Chyba minszane. Po polsku nie wszyscy mówią, ale każdy rozumie. Teraz takich rodzin jest wiele. Kiedy było najlepiej? Za Stalina. Jak ta pierestrojka poszła, ceny skoczyły. W sklepie pełno, a w kieszeni pusto. Ech, tego Gorbaczowa to trzeba było dawno zastrzelić. Im to się dobrze żyje, a my? Przy kolchozie nie było tak źle, mniej można było robić. Tak się troszku poobijać. W Dundaju też był jeden, nazywał się Czerwony Sztandar. Które nie chciały tam robić, szły do naszego. Ale jak kolchoz sadił ziemniaki to śmich. Przelewali z pustego w próżne. Kopali, zasypywali, wsio gniło.

Zachodźcie do środka, poczęstuję czymś. Nie ścieśniajcie się, zachodźcie! Oj, teraz nie ma na cym chodzić, na próg trudno doleźć. Z młodości przestudzone, przemarzninte. Ino ciut ciut śnieg stajał, to już my poszli kartofle zbierać, bo nie było co jeść. Kilka lat przed wojną i we wojne to bida była jak diabli, aż piszczało. Siadajcie, siadajcie. Ogórecki swoje, słodkie. Chlebuś krojcie. Na front kazali wszystko zdawać. Dojechało tam, nie dojechało, kto wie? Zbirali my kartofle, suszyli, tłukli, na ziarnach mlili, kluski gotowali. Jedliśmy, co się pod rękę nawinęło, korpiele, rzypę, czeremszą. Wszystkiego my popróbowali. Kieckę trzeba było kaj uszyć, szło się do kołchozu worek kraść. Z worka zeszyć. Potem do lasu, skóry narznąć i okraścić toto. Jak ja wnukom opowiadam, one nie wierzą, że to prawda. W tym domu mieszka Sierioża, często mówi, babko opowiadajcie jeszcze. Syn mi zmarł, już jedenaście lat jak go nie ma, ostało się dwoje dzieci. Już jedenaście lat.

W Polsce jakie domy? Murowane. W murowanych, mi się widzi, chyba zimno? U nas tera trudno stawiać. Drzewa nie rusz, zachapily te chapugi. Taki jeden, na którego my głosowali, okazał się zwirz. Zwirz po prostu. Wszystko do siebie. A co te pieruny wykluczyły światło? Herbaty chciałam zrobić. Bierzcie stopki, cosik mocniejszego naleje. My to nazywamy tarasun, z buriackiego. Po polsku bimber. Czy polują? Nu, jak mają papirek, jeżdżą jesienią. Lisów chyba ni ma. Powychytywali na copki, na kołnierze. W przodzie to były lisy, kasik daleko łosie, zubry. Niedźwiedź? Do wsi nie przychodzi, za mądry. Zaraz by go zjedli. Po jakimu zostawiacie? Pierwszy trzeba pełny pić, potem można po połowie. To już bez nijakiej papraniny, cyste. Aparat nam przywiózł znakomy z Irucka. Łatwo się robi, drożdże, cukier, wsio. Tu jest kilka rodzin, co piją jak psi. W Polsce też są pewnie? Chodzą umazane, w brudnej odzieży, ale pieniądze połączają. Zupełnie za darmo. Na 12 tysięcy rubli to ile trzeba plecy giąć. Ksiądz im całą obstanówkę do kuchni przywiózł, zru-gałabym tego księdza jak nie wiem co. Był tu taki jeden herny. On się ze mną kłócił, na co wy to robicie. Pani chce dobrze żyć, a ten co będzie kupował, będzie bidnie żył. Nie kupi u mnie, kupi u drugiego. A sam nie pił, chciałam go napoić, ale się nie dał. Tyle było księdzów, a nie było takich hernych jak on. Nu, jeszcze dobry był Ignacy. Tylko trochu wypił, zaraz ciungnęło go na spanie. Rumieńców dostaliście, mocne, mocne. Więcej niż 60 procent, silniejsze cym wódka. Oj, śpiewało się dawniej, pewnie. Po polsku, po rusku, po chachłacku. Bida bywała jak diabli, ale smutno nie było. Taką piosenkę znacie? To po polsku:

Dziewczyno woły masz
obiecałaś dać dziubaka
daj zaraz
Ja bym dziubaka nie załowała
gdyby matula w progu nie stała
Dziewczyno, szachrajko,

obiecałaś, a nie dałaś
cyganko
Dziewczyno...

Wybieracie się na Miru Mir, to już nie ta góra. Glinę wyplukało, zmalala. Żmije? Boicie się? Teraz ni ma. Kiedyś to były żmije.

*

Jarek, wnuk pani Niny.

Ja tylko komandir

Wysoki, zielony płot. Z drugiej strony migają ręce. Niezbyt czyste. Chwytają i puszczają ogrodzenie. Za nimi pokazuje się twarz. Chłopak, nieduży, wczesna podstawówka, wyteża muskuły usiłując nie spaść. Uśmiecha się szeroko. Jest, jest. Zawołać? Bose stopy biegną w stronę domu. Za chwilę wychodzi furtką. Przylizana fryzura, sandały. Oznajmia oficjalnym tonem: baba zaraz wyjdzie. Witam, witam. Skąd jesteście? Zachodźcie do środka, nie będziemy na dworze stać. No jak wam na tej Sybiri? Jarek, weź te poduszki, zrób miejsce. Ładnie? Świeży wozduch mamy, pewnie. Oni tak daleko przyjechali, w dziesiuntym roku, na goły kamień. Nie wiem, nie wiem po jakiemu zostali. Cinżko było. Jak w jednym roku posadzili kartofle, zaczęli płakać, że wszystko zamarznie. Raz babcia zebrała dzieci i mówi, pojedymy nazad. Tu za zimno. Dziadek: nie, nie. Mnie wstyd Antosiu, ja uszedł stamtąd, żeby coś zarobić, żyć dobrze. U nich w Polsce kamienica była. Babcia pojechała, pożyła trochu sama i wróciła nazad. Pani Nina poprawia chustkę, śmieje się. A gdzie Andriuszka? Nie, Andriuszka to nie brat. To jego kolega. Włóczykij, on może w domu nie nocować, od takiego dziecka zawędrować do drugiej wsi. Jak się spotkają dokazują, po dachach latają, na rowerach jeżdżum. Ja rańsze uczyłam w szkole, młodsze dzieci, pierwsza, trzecia klasa i przy gospodarce pomagałam. Gdyby nie wypadek, pracowałabym do tych pór. Jak my wieźliśmy siano, spadłam z wozu. Jedno oko straciła, a drugie operacja. Nie nadaję się do pracy. Jedynie zawiadować robotą mogę, ja tylko komandir.

W Irkucku, operacja na operację, później konsultacja w Moskwie. Jak jaśniutkie słońce, coś widzę. Widzę, że ludzie siedzą. Iść to dają radę tak ot, ale gdzieś jechać samej już nie. Teraz wszystko wiem gdzie jest. Jakby kto przełożył kaj szukać? Co zrobisz? Zamyśla się, potem uśmiecha. Eee, niejedna pewnie taka w całym świecie. Nie?

Panią Marysię Dobrowolską znacie? Nauczycielkę z Polski? Ona była osoba oczeń charosza. Umiała z wszystkimi się porozumieć, z Rosjanami, z Buriatami. W każdej kompanii była swoim czelowiekiem. Mam ją na zdjęciu, zaraz wam pokażę. Jarek, znajdź album ze snirkami. Jaki? No ten z cwiernymi fotografijami, maminy. Nie, to nie eta. W tym jest moja córka. O tu, w berecie, w Polsce, dziewięćdziesiąty szósty rok. Gdzie mieszkacie? W domu polskim. Wiecie, to dom mojej siostry, teraz mieszka na Kaukazie. Wyjeżdżała, myślała komu sprzedać. Przyszedł ojciec Ignacy, potem konsul. Prosili, namawiali, zgodziła się. Dawno tam nie byłam, dawno. Jarek, co tam naszoł? Robokopa i zażygałkę? No, ładna. Szukaj albumu dla baby. Nie, to nie eta, to książka z odkrytkami, tam fotografii nie budut. Moja mama to była Rosjanka, a tata Polak. Był we wojsku koło Biełgorada. Tak się poznali. Potem my tam wszyscy jeździli. Odwiedzać wujków, ciocie, ale poumierali. Teraz ostały się drugie dzieci, podobnie jak u nas. Moja siostra z Kaukazu do Biłgoraja ma blisko, często jeździ. Ja też byłam. Samolotem do Moskwy, później pociągiem.

No, no, mamusia przybyła tu z daleka. Ale pokochała naszą wieś, nauczyła się mówić po wierszynie. Ja wiem, że lodówka to lodówka. Ale nikt z miejscowych nie powie inaczej niż chołodilnik. Nasz język taki mieszany. Jarek, państwo cię pytają. Odpowiedz ładnie. Ile polskiego? Skolka uroków? Dużo macie godzin? Poniedziałnik jest, srieda jest i sobotu. Kryncisz, w sobotu nie ma, we wtornik jest. Całe 6 dni się uczą, informatyka, szachmaty. Kompjutery mają. Po mojemu to konsul przywiózł. Mały przychodzi ze szkoły i woła; baba kompjuter nada. Nu, nada. W szkole? Dobrze mi się pracowało, lubiłam swoją pracę. Dużo było nauczycielów Buriatów. U nas też był jeden, ale on nie mieszkał w Wierszynie, żył w Dundaju. Starszy był człowiek, bardzo chwalił Poloków. Często chodził popatrzeć jak się zbirają, modlą. Kak ładnie oni pieją, mówił. Takuju wysoku kulturu przywieźli siuda. Mój dziadek miał młyn. Gdy zmarł, Buriaci bardzo płakali. Charoszy czelowiek, nikagda nie odkazywał. Choć dzień, choć noc przyjmie, tak go wspominali. Ludzie to różne są i Buriaci różni. Niektórzy gadali; wyście przyjechali na naszą ziemię. Wśród ludzi, to nie bez tego. U mojej cioci, starszego syna kobita jest Buriatka. Takie małżeństwo, że jedno ze wszystkich, więcej ni u kogo. Skoro sto lat Poloki i Buriaci koło siebie żyją, a pierwszy raz się zdarza. Ich syn jest jaśniutki, nos prosty, a córka wykapana Buriatka. Więcej wam powiem, taka buriatka, że i u Buriatów takich ni ma. Dzieci gdzie się modlą? Jakiego są wy-

znania? Nie wiem, Buriaci niby muzułmanie², my niby katoliki. Nu, ale jak to u nas w Rosji było. Kto my teraz? Nichto. Jarek naszoł album ili nie? Nie naszoł, on takoj maleńki, może gdzieś z wiercha? Tak wam chciałam naszą Panią pokazać. Jak do nas przyjechała, to aż energia od niej biła, wszędzie jej było pełno. Czasem sama do niej mówiłam; Marysiu usiądź, odpocznij, nie biegaj. Syn Radek do niej przyjechał, podobało mu się tutaj. Chwalił, że mamie nasz wozduch służy.

Święte miejsca widzieliście? Nawiunżom wstążeczek na drzewach, potem tam się modlą, szamanią. My jak jedymy, ciepniemy co niebądź. Buriaci wierzą, że trza na tym miejscu coś ostanowić; konfietku ili sigaretku. Takie szamanienie. Jak raz zapomniałam ciepnać, samochód stanął, nie chciał jechać. Zawsze jakaś kopijeczkę się ostanowi, potem chodzą pijoki, dzieci i zbierają. W dole Miru Mira, niżej, jest taka kupa kości. Uni tam żertwę odprawiali. Kręgi z wyłożonych kamieni, kotły stoją. Prosil dyszcza czy pogody, co im było trza. Na żertwę, po polskiemu jak będzie? Ofiarę, na tę ofiarę przywodzili konia albo barana. Zabijali toto, bryzgali krwią. Z mleka robili tarasun, samogon. A słyszeliście jak naszamanili wiosną? Opowiadali wam? W Honzoju, za rzeką, spalili dom. Tego roku, w maju ni jednego dyszcza nie było, trowa strasznie sucha. Uni jak szamanią, wszystko muszą polać spirytem; ziemię, próg, przyzbę. Ogień palili, jak jeden bryzgnął po trawie, wiatер poszedł, wsio się spaliło. Chłop się spalił, ostało się troje dzieci. Malutkich. Nie daj Bóg nikomu tego. Nu, uni pewnie i tego nie chcieli, ale pijani byli. Może się zgodzą, czy zapłacą, czy dom postroją. Kiedyś to Buriaci bardzo ciekawe ubiory mieli, ja jeszcze pamiętam. Na nogach iczki, lekkie ze skóry zeszyte. Na zimę inne i na lato inne. Krasiwyje hałaty, do nich kopijeczki przypyszywane. Błyszczało się, brzęczało pięknie. Capy mieli z wilka, czasem z lisa. Wszystko się zmienia. Teraz w Dundaju każda rodzina buriacka ma swój mały smentarz, albo na ogólnym chowają. Wprzodzie tak nie było, do ziemi nie grzebali. Owinęli w skóry i tak to wisiało, patom upadywało. Czasem dzikie zwierzęta roznosiły. Tylko szamanów przykrywali gałęziami, palili. Raz ze szkołą pojechali do lasu kartofle kopać. Idziemy w las, do toalety, a tam z liści jakieś nogi stercą. Myśle, co te nogi tak stercą? Nu, to już było dawno, dwadzieścia pięć, trzydzieści років temu. Buriaci do Mongołów jeżdżą, znają się z nimi, ale język inny. Za Bajkałem i tutejsze Buriaty, jedni drugich nie rozumieją. Parę lat temu nazad, wele Userdy, zacharanienie wykopali. Czelawiek był mongolskiej rasy, Azjat. Nawet odieżdza się zachowała. Mówią, że to ciało Czyngis – chana.

Teraz? Jestem sama. Mój mąż był z Ukrainy. Umarł na robocie, cztery lata nazad. Czekamy w domu i czekamy, nie wraca. Córka pojechała sprawdzić. Przyjeżdża, na progu stoi, nic nie mówi. Boi się powiedzieć. Dopiero siostra przyszła, powiedziała. Ech, ta śmierć, ta śmierć. W naszej wsi sporo wypadków na motorze. Tako dziewczyna ładna była, do

² W ten sposób rozmówczyni określa religię Buriatów.

Polski się zbirała uczyć. Jechały we dwie, dziewięćdziesiąty siódmy rok, w słup uderzyły. Jednej nogi złamało, a tę drugą zabiło. Wielka szkoda.

Wiecie, że jest ksiużka o Wierszynie? Chcę kupić, ale nie mogę trafić do tego dziadka. Materiał? Oj, on zbiroł parę lat, do archiwa jeździł. Opisał też takie familie, których już ni ma: Różańskie, Grele. Mówią, że nawet zaznaczył, kto ile kartofli sadił. Pani Nina przeciera okulary. Grube szkła odbijają spojrzenie. Ciepłe, rozbawione. U nas się sadiło różne sorta: białe, różowe, takie aż niebieskie. Jeden rok się rodzi jedno, drugi drugie. W kartoflach to lubią żmije siedzieć. Taka gadziuka, to się szczytomordnik nazywa. Teraz już mniej, rzadziej niż kiedyś. Trzeba ostrożnie ino chodzić, patrzeć. One niewielkie, ale jak ugryzie to wsio. Jednego razu trzepali siano, z tym sianem trzepnęli żmije. Chłopak na wóz ładował, ugryzła go w szyję. Na wienę, żyłę trafiła. Do szpitala zawieźli, ale chłopak pogibł. Bywa, że leczymy się sami. Na przeziębienie najlepszy psi albo borsuczy żyr. Borsuki one takie żyrnije, okrągłe. Niedźwiedzi? Też dobry. Słoninę z niedźwiedzia widziałam, ona aż się rusza, jak żywa. Na skaleczenia dobra macierzanka, dzieci w niej często kąpali. Nasza pani Marysia dużo różnych ziół nzbierała, nasuszyła i do Polski powiozła. Jarek, naszoł album? Ach, gdzieś się przed nami schowała, nasza Marysia kochana.

Tak mało żyjemy

Naszata, część Wierszyny za rzeką. Kiedyś mieszkali tu Buriaci, teraz stoją polskie domy. Krajobraz wydaje się zatrzymany, wyłączony z biegu. Szkiełko zegarka omszało, spadło na dno studni. Kobieta w ciąży stoi przy płocie. Powolnym ruchem wiesza kocyk. Niebieski materiał ocieka wodą. Płyną leniwe strumyki. Dziecko siedzi w piachu, zamarło z łopatką w ręce. Drogą idzie Pan Walenty. Utyka lekko, drepcze w stronę domu. Orli nos, szare, bystre spojrzenie. Przypomina zranionego jastrzębia. Szlachetny, ginący gatunek.

Poloki z Polski? No, ładna. Zachodźcie, ale u mnie bałagan, hazajki nie ma. Ja siódmy rok żyję bez Helusi. Uszanowuję jeszcze to, co mam. Staram się, utrzymuję toto. U mnie jest nawet krowa. Jak wieczorem moczy, wydoić trzeba. Masło, mliko domasznie, nie muszę kupować. Wczoraj na gwóźdź wlałem, paprze się brzydsko. Kulfon chyba byde. Zdejmuje nitkę z rękawa, śmieje się. Stare ludzie to są bardzo kapryśne, a dlaczego? Bo stare. Śmiech przechodzi w kaszel, suchy, gwałtowny. Po chwili patrzy przed siebie, nuci:

Szła dziewczeczka
przez zielony las
spojrzałem ja na nią
tylko jeden raz

Czyje słowa? Nie wiem, ale je pamiętam. Śliczne słowa, złote. Przed wami odkryta cała dopiero panorama życia, wy możecie i robić, i czuć, i pisać jak chcecie. Cała miłość, lubow przed wami.

Szła dziewczeczka
przez zielony las
skończył się już dla mnie
kawalerski czas...

*

Pan Walenty w letniej kuchni.

No, no, żurnał z Polski. Bardzo miło i przyjemno, dzięki wam. Ja tam interesuję się trochę informacją, dużo przeczytał książek, u mnie literatura oczeń bogata. Mówicie, że chcecie moją książkę? Ja byde bardzo rad, jak kupicie. Zaraz przyniosę. Moja wnuczka żyje w Moskwie, kredyt wzięła, żeby wydać. Jak wydali, przyjechały córki, jedna z Moskwy, druga z Norylska, przywiozły 50 egzemplarzy. Ja chronię tradycję Wierszyny, tu o wszystkim po trochu. Najpierw jak Poloki przybyły, jak się na Sybiri urządzały. Takie stare fotografije. U mnie jest trzysta zdjęć, ile one przeszły. Niektóre chodziłem, po ludziach zbierałem. Ale nie wszystkie są w książce, jakaś jedna trzecia. Na więcej to trzeba piniędzy dużo. Widzicie, wydanie ładne, albumowe. Robiłem na stanowisku agronoma, samolotem nad lasami latałem Tu wszystko dokładnie opisane, nawet ilość gadziny, ziemi, upraw. Sporo pamiętam, ale i do archiwa jeździł. Ja już stary, uchodzę z tego świata, więcej bym wam pokazał, więcej opowiedział.

Poświęcam swojej Helusi, to dedykacja. Przeżyliśmy pięćdziesiąt pięć lat. Zawsze razem. Na tym zdjęciu mój tatuś, a dalej mamusia. Tutaj pole, młode dziołchy przy pracy. Zobaczcie, jakie u nas dziołchy były. Wszystko mieszkańcy Wierszyny, fotografije ze ślubów, z dziećmi, przy robocie. O, ta koło kołchoza, tu dojarki stoją. Z naszej wsi wyszło więcej niż tysiąc nowych rodaków. Ja wkleił tablice gdzie są całe klasy. Widzicie? Lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, większość nauczycielów; Buriaci. Jest nawet dietskij sad, snimki najmniejszych dietiej. Z naszej wsi dużo młodych połączyło wyższe obrazowanie, skończyli uniwersytet. To

ich zdjęcia: Rusłana Pośpiech, Ludmiła Figura, Elena Mitrega, jeszcze więcej. Piszę listy z polską nauczycielką Marianną. Pani Marianna Dobrowolska, znacie? My drużyli się i ze Zdzisławem Soską, on tożę wykładał polski. U mnie jest zdjęcie z Hanną Krall, siedzimy w ogródku, rozmawiamy. Książkę mi podarowała. Wy wiecie kto to Hanna Krall?

Ostatnie strony to wszyscy moi, cała rodzina. Brat, dzieci, wnuki. Moja córka na pensję w tym roku uchodzi. A prawnuczka w Narylsku uczitsa akrobatikie, sukcesy ma. Dla ciebie w życiu już drugiego szczęścia nie bydzie, najważniejsze to dobre potomstwo zostawić. Ono jest jak twój sl'ed w świecie. Mnie dzieci szanują, odwiedzają, ostawię dobry sl'ed.

Jedliście kiedyś kiedrowe orzeszki? W Polsce ni ma? To sobie weźcie, mam cały koszyk, ja już nie używam. Trzeba rozłupać szyszkę i wyjąć, są takie maleńkie. Z nich jest dobre masło, nalewka dobra. Więcej bierzcie, więcej, po kilka!

Książkę? Ile lat pisałem? Ja całe życie pisał swoją książkę.

Czynsto dumaju, że między Polokami dużo odważnych, wielkich ludzi było. Nasze przodki, które tu przyjechały, dały sobie radę. Bez żadnego gospodarskiego przygotowania. W miejscu, gdzie diabeł mówi dzień dobry, a może i dobranoc. A taki Kopernik, też wielki. Ile to teorii szło. On na przekór wszystkim ustanowił po swojemu, okazało się prawdą. Trzeba podziwiać własną kulturę, obcą też. Taki buriacki ansambl, jedyny w swoim rodzaju. Nichto tak nie zaśpiewa, nie zatańczy. Przeżyłem prawie sto lat, czegoś takiego nie naszoł. A jak Rosja z Polską? Bo w gazecie cytał, że Polska z Rosją dobrze żyje?

Wierszyna to piękna wioska, oddałem się jej. Pamintajcie, że w Wierszynie jest tako Polska.

U mnie Biblia leży, studiuję czasem, bardzo ciekawe. Jezus Chrystus szedł po brzegu. Biją, rzucają kamieniami w jedną osobę żeńską. On się zatrzymuje, mówi; kto kamień rzucił? Kto nie był grzyszny? Kto nie był grzyszny? To ciekawe.

Bywa, że wypiję, ale picie, niedobra rzecz. Jak się napijesz jesteś bardzo mądry, a nawet zanadto głupi. Wódka to jest zło, mnie się widzi, dziś w świecie nawet dziewczęta piją. Wy ruską klasykę uczyli w swoich Uniwersytetach? Jesienina znacie?

A miesiec
wsio budet płyt' i płyt'
ranniej wiesnoj po ozioram
a Ruś wsio bud'et
żyt' i żyt'
i pit', i płakat' pod zaborom

(w wolnym tłum.)

A księżyc
będzie płynął i płynął
wczesną wiosną po jeziorach

a Rosja zawsze, Rosja potem
będzie pić, płakać pod płotem

Ech, kiedyś dużo poezji czytał i żurnalów. W takim jednym rysunek; polska paninka stoi na bulwarze, w cieniutkich pantofelkach. Chociaż mówi zimno, ale czekam cierpliwie, ciekawe czy przyjdzie. Wiecie, ja nie wiem jak dziołcha lubi chłopaka, ja ino wiem, jak chłopak lubi dziołchę. Mnie się przypomina jeszcze takie coś śmieszne, też po polsku:

W każdej wiosce
jest kapela,
która dziatwę rozwesela.
Na przemianę psy szczekają
konie rżaniem się witają,
woły porycują...

No, już troszku zapomniał. My się tak uczyli w szkole, wy jakie wierszyki pamintacie? Im człowiek starszy, tym więcej pamięci, za siebie zyrka. Choć czasem widzi mi się, że ja stary, a na duszy młody. Trudno pojąć. Zdjęcie chcecie? Nieładne bydzie, z takim starym dziadkiem.

Ja już jestem stary
młodej mi potrzeba,
żeby zarobiła
na kawałek chleba.

Ech, tak mało żyjemy. Tak mało żyjemy na świecie. Można by jeszcze więcej opowiedzieć o sobie, o ludziach. Nie zapomnijcie zabrać kiedrowych szyszek, dam wam foliowy woreczek, dla wygody. Pan Walenty wraca szeleszcząc folią, siada przy stole. Przymyka oczy, po chwili zaczyna mówić. Cicho, patrząc przed siebie:

Jadą, jadą dzieci drogą
siostrzyczka i brat
i nadziwić się nie mogą
jaki piękny świat.

Nad Wierszyną zapada zmierzch. Czerwień, łagodny fiolet obejmują wszystko; drzewa, ludzi, zwierzęta. Przez drewniany mostek biegnie żrebak. Czarny, nerwowy. Pewnie zgubił stado, szuka swoich. Ida wygasa kolory, rozpuszcza resztki dnia. Wokół ciemne góry porośnięte tajgą. Budzą lęk, uspokajają. W mroku zarysy krowich pysków, błyskają brązowe oczy. Mądre, pełne smutku. Zbliża się pora dojenia, czas powrotu. Całe stado ciągną do zagród, w stronę domu. Nawołują się przeciągłym muczeniem. Nikt ich nie prowadzi, znają drogę.

Skóry dotyka lekki chłód, powietrze pachnie wilgocią. W mojej głowie pełno myśli, pełno pulsujących historii. Czuję ogromną wdzięczność dla ludzi starszych. Oswajają nas z naszą przeszłością, z życiem. Przygotowują na moment, gdy sami zanucimy tę zwykłą piosenkę: kiedyś to były zimy, kobiety i żmije, a my byliśmy młodzi.

